

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LIPIEC 2021 | NR 7 (43)

REPORTAŻ

**Czy na wsi widać
zmianę klimatu?**

**Biegli sądowi bez
kwalifikacji**

ESEJ

**Komu są potrzebne
wielkie imprezy
sportowe?**

**Duchowość dziś:
co nas koi?**

LITERATURA

**Fiedorczuk
Muszyński**

CENA: 15,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

07>



9 772544 502104



Pismo.

MAGAZYN OPINII

LIPIEC 2021 | NR 7 (43)



[Kup książkę](#)

now.starakfoundation.org

Fundacja Rodziny Staraków

Interdyscyplinarny projekt skierowany
do środowiska artystycznego oraz twórców
różnych dziedzin. Platforma prezentacji sztuki
online, wymiany myśli, doświadczeń i perspektyw.

NOW

NOW

NOW

NOW

[Kup książkę](#)

Pismo.

LIPIEC 2021

PROZA

Paryż | 6

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Gonitwa | 90

VALERIA PARRELLA

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3

wydarzenia kulturalne w lipcu

APTECZKA

Co w niej trzymają... | 79

członkowie zespołu KWIAT JABŁONI

POEZJA

Na stary bilet komunikacji miejskiej (...) | 69

JACEK DEHNEL

bo nie jest kleiście, ani nie jest słodko | 89

NATALIA FIEDORCZUK

OBRAZ

Non omnis | 4

RATS AGENCY

Graniczna | 40

TOMEK KONTNY, MIKOŁAJ RATKA

El flamingo

IZABELA KACZMAREK-SZUREK

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Wróbel**

MARCIN WICHA

53 | NIE WSZYSTKO STRACONE **Roboty wewnętrzne**

ANIA MORAWIEC zagląda do miejsc pod ścisłym nadzorem

96 | PRZYPISY **À propos sportu**

ZUZANNA KOWALCZYK

FOTO | REPORTAŻ

20 | **Czy wiesz, jak kwitnie len?**

MAGDALENA KICIŃSKA, MACIEJ MOSKWA pytają na wsi o zmianę klimatu

REPORTAŻ

10 | **Nasza pani psycholog**

MICHAŁ SZCZĘCH mówi „sprawdzam” biegłym sądowym

54 | **Nadzieja w pięściach**

PAWEŁ PIENIĄŻEK o zawodnikach MMA, którzy walczyli o wolność

60 | **Spójrz na swoich następców**

MIŁOSZ SZYMAŃSKI na ulicach Stambułu szuka jego nowych mieszkańców

ESEJ

32 | **Granica w szkocką kratę**

PATRYCJA BUKALSKA sprawdza, czy Szkocja jest coraz bliżej niepodległości

48 | **Igrzyska niechcianych zmian**

TOMASZ GORAŻDOWSKI o tym, po co nam dziś olimpizm

80 | **Jak trwoga to do...**

ZUZANNA KOWALCZYK sprawdza, co dziś oznacza duchowość

STUDIUM

72 | **Kłątwa białej ropy**

OLIVER BALCH podąża śladem litu

Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i Sekretarstwo Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Felieton: Marcin Wicha, Ania Morawiec, Idee: Karolina Lewestam, Zuzanna Kowalczyk, Technologie: Martyna Trykozko,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utka, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę

Wróbel



MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik
i pisarz. Nagrodzony
Paszportem „Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem*.
W kwietniu ukazała
się jego najnowsza
książka *Kierunek
zwiedzania*.

Pewna pani dała znać, że moją książkę obsrał wróbel. Dowód stanowiło zdjęcie na Instagramie. Zdjęcie zawierało następujące elementy: palec wskazujący, okładkę, trawnik, parasol ogrodowy (chyba ten model z Ikei), góry w tle. Na okładce można było dostrzec plamę o nieregularnym kształcie. Dla pełnej jasności dodano napisy: „Marcin Wicha” oraz „Kupa wróbla”. Przy kupie wróbla sterczała strzałka. W sumie wyglądało to jak recenzja, chociaż – próbowałem się pocieszać – mogło być także najzwyczajszą relacją z udanego weekendu. Dni są teraz długie, średnia temperatura rośnie, populacja wróbli też podobno zwiększa się, więc prędzej czy później coś takiego musiało się wydarzyć.

Co roku sobie obiecuję, że wreszcie poczytam w plenerze. Znajdę cieniste miejsce w sadzie lub ogrodzie, a potem, jak to się mówi, utonę w lekturze. Każdego lata szybko rozstaję się z tym złudzeniem. Przy próbie regulacji leżak obcina palce. Hamak krępuje, dusi, potem rzuca ofiarą o ziemię. Próby czytania na kocu, pozornie bezpieczniejsze, prowokują atak roślin, pajaków i owadów, w konsekwencji przynosząc świąd, odczyn alergiczny i poszukiwania fenistilu. Tylko w najbardziej optymistycznym scenariuszu udaje się pokonać wszystkie przeciwności i zasnąć gdzieś w okolicach drugiego akapitu.

Oczywiście, nie chcę uogólniać. Na świecie żyją wspaniałe osoby, którym takie problemy są całkowicie obce.

W każdym razie często wystawiałem dzieła różnych autorów na kontakt z nieludzką przyrodą. Dlatego uważam, że plamy od czereśni, szypułki truskawek, ogonki porzeczek, zielone smugi od trawy, zgniecione komary, zgniecione komary w kałużach cudzej krwi, odciski palców, linie brzegowe po winie, pojezierza po czarnej kawie, pozostałości lądolodów na patyku, a także podkreślenia, dziurki wypalone z nudów, osłe rogi, obdarte obwoluty i plamy od kremu – są to najpiękniejsze odznaki, jakimi książka może się przyozdobić. To ekslibrisy lata. Harcerskie sprawności na literackim mundurku.

Jednakże zawsze jest „jednakże”. Jednakże zacząłem się zastanawiać, czy gdyby jakiś ptak skalał, powiedzmy, tom Mikołaja Grynberga, to uznałbym za konieczne donieść o tym autorowi? Czy ja bym do niego pisał? Czy ja bym do niego dzwonił? Czy ja bym go przyzywał przez ostępy mediów społecznościowych, żeby wspólnie kontemplować ptasie gówno? Nie. Raczej bym tego nie robił, chociaż poznałem Mikołaja Grynberga i wiem, że jest to człowiek obdarzony poczuciem humoru, dystansem i mądrością, których mu zazdroszczę.

Możliwe zresztą, że takie porównania są chybione. Oznaczanie na Instastory ma własne prawa. Oznaczając, nie piszemy listu ani depeszy. Raczej wykrzykujemy czyjeś nazwisko w zatłoczonej galerii handlowej. (Ale czy ja bym wołał na przykład Pawła Sołtysa po nazwisku w zatłoczonej galerii handlowej?)

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Zajęty refleksją widocznie nie wykazałem należytego entuzjizmu w sprawie wróbla, bo po jakimś czasie pani napisała ponownie: „Jeżeli poczuł się pan urażony, to przepraszam, bez urazy, zwykłe wiejskie życie”.

Skądże! Gdzieżby tam urażony! Zresztą najlżejsza oznaka urazy podlegałaby zaskarżeniu z co najmniej pięciu paragrafów Kodeksu wykroczeń internetowych, a możliwe, że dałoby się coś jeszcze dołożyć na mocy przepisów wykonawczych do Ustawy o winach przodków i przywilejach nienależnych.

– Hi, hi, ha, ha! – poprawiłem się szybko. – Okładki prać w czterdziestu stopniach! – poradziłem żartobliwie. Wróbel. Kupa. Siedem uśmiechniętych emotek i uahaha!

Jednakże.

– Tylko czy ja naprawdę muszę o tym wiedzieć? – pomyślałem i zaraz się zawstydzilem. – Ty hipokryto – powiedziałem do siebie. – Ty stary hipokryto! Jeszcze niedawno tak się cieszyłeś ze zdjęć, które przynosił ci Instagram. Z tych swoich okładek ustawianych na półkach i stolikach, na tle okien, balkonów, witryn sklepowych i chodników. Okładek w towarzystwie sympatycznych, nierasowych psów. Okładek, o które ostrzyły pazury nieznajome koty. Okładek z kawą, herbatą i sernikiem. Wyczekiwałeś ich, wypatrywałeś, napawałeś się skrycie, smakowałeś, odczytywałeś inne tytuły widoczne na półkach, wysyłałeś żartobliwe pozdrowienia psom i kotom. Obrzucałeś zdjęcia serduszkami, potem udostępniałeś, pchałeś innym przed oczy, puchłeś z dumy. A teraz trochę gówna i pękaasz?

– Gdzie sernik, tam i wróbel – powiada księga przysłów polskich (w rozdziale „Internet”).

Kup książkę

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **lipcu**



Plan Tysiącletni w muzeum nad Wisłą

W warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej od 2 lipca można zobaczyć najnowszą pracę Agnieszki Polskiej *Plan Tysiącletni*. Wystawa składa się z potężnej instalacji wideo oraz szeregu wydarzeń towarzyszących. Praca artystki opowiada o procesie elektryfikacji polskiej wsi tuż po drugiej wojnie światowej od strony modernizacji i emancypacji, ale też niepokojów związanych z przełomem technologicznym.

WIĘCEJ: artmuseum.pl



Wystawa Krok za naturą

W lipcu, w dwóch lokalizacjach – Warszawie i Krakowie – zapraszamy na wystawę podsumowującą projekt Fundacji Pismo *Krok za naturą*. Na wystawie zobaczycie będzie można portrety dziesięciu kobiet – lokalnych liderów z Małopolski – autorstwa Macieja Moskwy. Zdjęciom towarzyszy opowieść bohaterek o zmianie klimatu widzianej z pozamiejskiej perspektywy. Wysłuchała ich Magdalena Kicińska.

WIĘCEJ: magazynpismo.pl/krok-za-natura

Lipiec 2021



Wystawy Sztuka karmi sztukę oraz Artysta jest obecny w MOCAK-u

Dwudziestego piątego czerwca w krakowskim Muzeum Sztuki Współczesnej (MOCAK) otwarto dwie interesujące wystawy, skompletowane z kolekcji Muzeum z okazji dziesiątej rocznicy jego założenia. *Sztuka karmi sztukę* to spojrzenie na prace twórców inspirowane osiągnięciami innych artystów na przestrzeni dziejów, w kontekście dzisiejszej reinterpretacji, cytatu i pastiszu. Z kolei wystawa *Artysta jest obecny* to opowieść o strategiach twórczych, które polegają na użyciu własnego ciała, głównie w obrębie malarstwa, fotografii, performansu i wideo-artu. Obie wystawy można oglądać do 20 marca 2022 roku.

WIĘCEJ: mocak.pl



Gdynia Design Days

Nadbałtycki festiwal dizajnu, łączący branżę projektową z biznesem, jak co roku zaprasza na wystawy, warsztaty, wykłady i dyskusje wokół tematu nowych technologii, ekologii, wzornictwa, mody, architektury, rozwoju miast i rzemiosła. Hasłem tegorocznej edycji Gdynia Design Days są „Solidarni”. Festiwal poruszy kwestie związane z globalnymi wyzwaniami w skali lokalnej, etycznym projektowaniem oraz dizajnem uwzględniającym naszą wspólną przyszłość.

WIĘCEJ: 2021.gdyniadesigndays.eu

Wystawa ...daj nam dzisiaj w Galerii Arsenal w Białymstoku

W Białymstoku w Galerii Arsenal trwa wystawa *...daj nam dzisiaj*. Jej twórcy opowiadają o roli pożywienia we współczesnym świecie, wykorzystując przy tym produkty spożywcze nie tylko jako przedmioty refleksji, lecz także jako materiały i medium swojej sztuki. Wystawa koncentruje się na wpływie sposobów produkcji i konsumpcji żywności na życie społeczne oraz środowisko naturalne. Potrwa do 25 lipca.

WIĘCEJ: galeria-arsenal.pl



Non omnis

zdjęcie GRZEGORZ WEŁNICKI

tekst EWA MIELCZAREK

RATS
AGENCY

Zwłokami nazywa się martwe ciało człowieka, ale żaden przepis prawa nie definiuje, czym właściwie one są. W świetle polskiego prawa ludzkie zwłoki są rzeczą, ale w niektórych aspektach ich „rzeczowość” ograniczają przepisy kodeksu cywilnego.

W wielu kulturach szacunek okazywany zwłokom uważa się za kryterium dojrzałości danej społeczności. To, w jaki sposób są one traktowane, jest, jak pokazują badania, bardzo zróżnicowane: od szczególnego, sakralnego wręcz stosunku po neutralność.

Wobec dynamicznie rozwijających się nowych technologii w dziedzinie medycyny w stosunku do ludzkich szczątków pojawia się wiele nowych pytań natury etycznej i prawnej. Jak regulować status prawny ludzkiego ciała po śmierci? Skoro zwłoki są rzeczą, to czy mogą być własnością? Jeżeli tak, do kogo należą? Jak regulować prawnie kwestie sekcji zwłok czy przeszczepu narządów?

Zdjęcie wykonane w jednym z krematoriów na terenie Polski w 2019 roku. Przedstawia pozostałości panewki biodrowej, śruby, płytki i inne elementy po kremacji. Części te są skupowane przez firmy zajmujące się ich przetapianiem, by mogły zostać ponownie użyte w medycynie.

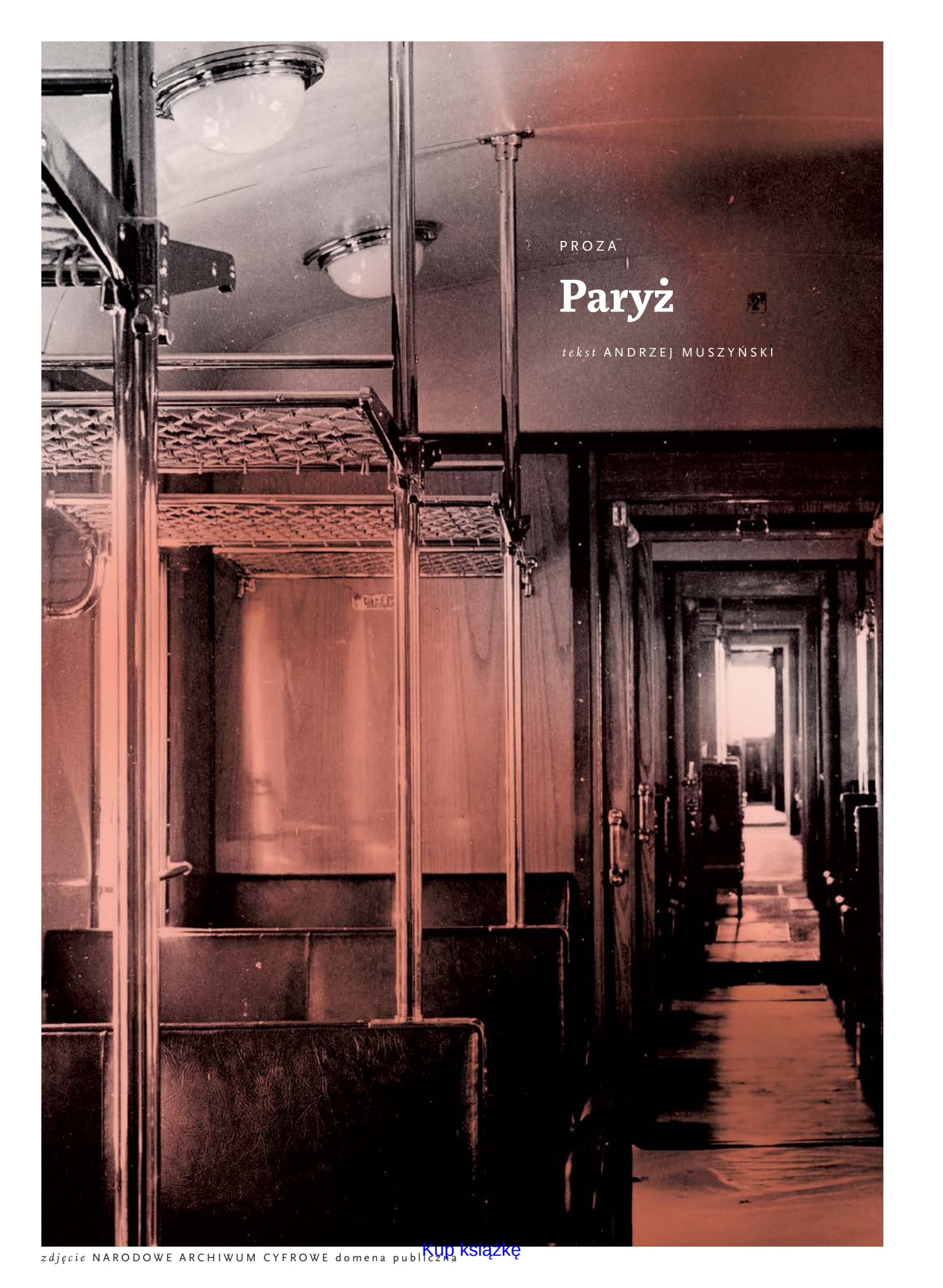
do 2 lat

- **pozbawienia wolności** – kara określona w polskim kodeksie karnym za znieważenie zwłok, prochów ludzkich lub miejsca spoczynku zmarłego



[Kup książkę](#)





PROZA

Paryż

tekst ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Ktoś ostatnio zapytał, jak to się w ogóle zaczęło. *Voilà*: wyszła jakby zewsząd. Z wnętrza tego wszystkiego, z czego składa się to miasteczko, a tworzy je głównie powietrze. Wyszła nagle i jakby wstrzymała na chwilę wszelki ruch poza sobą, bo jej obliczenia okazały się błędne, a pociąg już wjeżdżał na peron, daleko, po drugiej stronie torowisk – a w inny sposób nie ma bola, żeby zdążyć. A akurat w ten dzień nie można się spóźnić.

Jej szpilki wybijały na klawiszach betonowych płyt melodię do tej sceny. Wtedy ją zobaczyłem, ale ona z wyprzedzeniem, niby bojąc się, że ktoś ją na tym oszustwie z wstrzymaniem czasu przyłapie, zapytała:

– Przepraszam, skąd odjeżdża pociąg do Krakowa? To w tamtą stronę? – Wskazała palcem tę niewłaściwą, w kierunku Rudawy, idąc stanowczo w moim, to jest przeciwnym do Rudawy kierunku, więc nie wiedząc, o co chodzi, powiedziałem: – Tam, jak pani pokazuje, jest na Kraków. Ale na peron idzie się w przeciwną stronę, obok budynku dworca.

– Aha, bo ja myślałam, że w tamtą. – I omiotła wzrokiem ten remont stulecia, tę rumbę rdzy i mgły.

Dwie rzeczy: po pierwsze sam nie zdążyłem na wcześniejszy pociąg. Korki w Krzeszowicach były takie, jakich nie widziano od największych jarmarków, które odbywają się tu od połowy XIX wieku, kiedy to Potoccy zorganizowali pierwszy z nich. Jeszcze w latach 90. serpentyną z Paczółtowic, opowiadał mi kolega Rysiek, pięty się resztkami mocy kolumny przypominających czerwone paciorki ursusów trzydziestek ze zbożem, które schodziło jak w tym nieaktualnym już idiomie, a po targach można było się jeszcze skuć, wytrzeźwieć i wrócić wieczorem do chałupy z mniej niż połową promila we krwi. Nie zdenerwowałem się specjalnie tym spóźnieniem. Miałem do następnego pociągu czterdzieści minut, więc poszedłem do palarni kawy przy Krakowskiej. Baristka nałala mi czarną pięćdziesiątkę z brazylijskiego ziarna. Przy stoliku obok, pod szklanymi tubami wypełnionymi pałkami cynamonu, garam masalą i kurkumą, siedział ten sam człowiek co zawsze, w dzinsowej katanie, z opadającymi na kark włosami o strukturze świeżej bawełny. Obok młody koleś jadł suchą kanapkę, tak samo beznamietnie jak dzieci w szkole na prze-

rwie. Wyglądaliśmy jak jacyś niedorobieni Włosi. W jednym rzędzie i bez możliwości większego ruchu w ciasnocie. Z czerwonymi twarzami po kolejnym lecie, które przybyło tu jakby z innych stron, sfatygowane, dziecię innych lat, sierota, wywłaszczając to polskie. Mimo świadomości, że nie powinno to tak przaśnie wyglądać, siedzieliśmy tam sobie zadowoleni i było bardzo sympatycznie, bo nie ma tu większej potrzeby, niż dokąd pójść, mieć gdzie na chwilę usiąść, gdyż bez tego, bez połówki baru, bez ćwierci kawiarni, taka miejscina zamienia się w dom wariatów, ludzie krążą od jednego krańca do drugiego i nie zajmuje to więcej niż dwadzieścia minut, a dalej są już ciągnące się bezmyślnie w głąb światła porzucone ugory, z którymi nie wiadomo, co robić.

Dopiłem kawę i poszedłem w stronę dworca. Dotarłem do miejsca, w którym kończy się trawnik, a zaczyna plac dworcowy, i poczułem na ramieniu niespodziewany chłód; to był ostatni moment, żeby podbiec szybko do auta, bo lokomotywa trąbiła już w oddali przy Puszczy Dulowskiej. Wtedy, gdy podbiegałem do auta po kurtkę, pojawiła się ona.

Była ze dwadzieścia metrów ode mnie. Lekkoatletyczne uda w obcisłych džinsowych spodniach. Wysoka, dobrze zbudowana.

– Tu kawałek prosto i w lewo – powiedziałem, zamiast od razu zaoferować „proszę ze mną”, bo przecież siedłem właśnie w tamtą stronę. Oczywiście skrzyła źle, za wcześniej, w jakąś nową wielokrotnie załamaną dróżkę, krzyknąłem za nią, nie usłyszała, więc zboczyłem z trasy, tracąc parę cennych sekund, i potruchałem w jej kierunku. – Proszę pani! – zawołałem, ona się odwróciła i zrozumiała błąd, raczej mój, bo trzeba być idiotą, żeby próbować tłumaczyć komuś drogę na dworcu będącym właśnie w trakcie największego remontu w dziejach.

Wtedy zaczął padać deszcz. Deszcz jakiś pogniwany na samego siebie, wewnętrznie rozbity i indywidualistyczny, każda opadająca w rzadkich interwałach kropla próbowała uparcie wyklepać w czaszce dołek pod kałużę. Zageścił się w końcu ten deszcz i zaczął nas moczyć. Moja bawełniana koszula ciemniała. Rozłożyłem parasolkę. Szedłem powoli w stronę peronu, kurtuazyjnie się odwracając i spoglądając na kobietę kątem

oka, zupełnie jak napastnik na boisku, który biegnie w kierunku bramki, licząc na diagonalne podanie, więc widziałem, jak ona moknie i przyspiesza kroku. Gdy była już prawie przy mnie – bo w końcu celowo zwolniłem – zwróciłem się do niej tonem, który wydawał mi się stosowny wobec jej – egzotycznej dla mnie – maniery prawdziwej damy. Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem. Dama wsunęła się we mnie. Nie ma w języku polskim słowa na to, co się wydarzyło. Niby tylko się do mnie przysunęła, ale to nie pasuje, bo jej ciepła dłoń przeslizgnęła się po moim mokrym przedramieniu i zatrzymała na łokciu, a ten ruch wydawał się pochodzić raczej ze świata technologii, jakby wtrybił się pomiędzy mnie i coś niewidzialnego obok, obcy zimny moduł – w każdym razie od tamtej chwili szliśmy ciałem w ciałem, bez całej tej paplaniny, która zdarza się często, gdy nagle przypadek zbliża nas intymnie z kimś obcym. Parasol, który kupiłem przed laty na bazarze w Rangunie za garść kiatów, był malutki, na azjatycki ścisk, więc zbliżyła się jeszcze bardziej, przechylając głowę w kierunku mojego barku. Czułem, że niedawno wyszła po kąpieli.

Z obcą dojrzałą kobietą idzie się młode-mu mężczyźnie jakoś czujniej, byle nie nadepnąć, byle nie zrazić – w zasadzie płasza się, a nie idzie. Nie wiedziałem, że niektóre kobiety, pewnie przez te szpilki, aż tak silnie meandrują biodrami. Uderzała mnie nimi w bok rytmicznie, co wydawało się ostentacyjne jak u uczennicy. Ale to było jeszcze coś innego...

Ileż to razy mijałem jakąś dziewczynę na ulicy i obracałem się, ale nie za tyłkiem, choć tak to wyglądało, tylko za nowym i na zawsze traconym zapachem, bo nawet gdybym się potem na niego natknął, nie potrafiłbym poznać, że to ten. Ileż to razy myślało się, żeby zapytać taką dziewczynę: „Cześć, jak nazywają się twoje perfumy? Bardzo fajne”. I dodać na przykład: „Chciałbym kupić takie swojej dziewczynie” – żeby nie było, że frajersko zarywam. Wraz z tą wonią na zawsze zniknęła nadzieja na inne życie, o jakim słyszało się tu i tam. Życie, o które ocierało się na ulicach. Podśluchiwało.

Łało już jak nieszczęście i staliśmy dalej pod parasolem jak para. Na peronie było kilka wiat, pod którymi chroniła się przed deszczem młodzież, ale i ona spokojnie by

się tam zmieściła. Myślałem, że oddali się, gdy tylko znajdzie sposobność. Ale tak się nie stało. Lekko siąkała nosem. Miałem teraz czasu do woli i mogłem pytać, o co chce. Ta woń perfum wydawała się wydobywać z jej ust, gdy mówiła. Czy raczej mi przytakiwała. To ja więcej gadałem, ale z umiarem, bo udzielił mi się jej spokój. Rzeczowo tłumaczyłem istotę unijnego dofinansowania inwestycji na trasie Katowice–Kraków i zalety dojeżdżania pociągami do pracy. Nie wiedząc, co wydarzy się za kwadrans, z przekonaniem chwaliłem metamorfozę polskich kolei: wszystko jest nowe, punktualne, a umundurowani konduktorzy trzymają fason. Nie wciągnąłem jej w ten wątek. Skupiła się na oddychaniu. Jej piersi opięte dzinsowym rozsunietym kubrakiem łagodnie unosiły się i opadały, marszcząc materiał wystającej bluzki na lekko wypukłym brzuchu. Granat w jej żrenicach przepadał w dalekich odcieniach czerni. Wydawały się nacięte, jakby ktoś trachnął je nożem, i zanim rana została zatamowana, wlała się do nich biel gałek. Mogła mieć z pięćdziesiąt lat, ale często mówi się o takich przypadkach – wiek nieokreślony. Szyny lekko dzwoniły.

Kobieta z PKP zapowiedziała pociąg autorytarnym tonem, jak zwykle zapominając w porę wyłączyć głośnik, więc cały dworzec od ulicy Czycza po Zwierzyniec Potockich musiał się dowiedzieć, ile słodzi. Powiedziałem damie, że kiedyś pewnie te informacje będą subtelniejsze i bardziej spersonalizowane, pociąg wjeżdżał na peron, więc to był ostatni moment na błysk mojej inteligencji.

– Skąd pani przyjechała? – zabłysnąłem.

– Z Paryża.

Oho!

A skąd miałyby przybyć? Co miała powiedzieć – „zza winkla”? Musiała coś szybko wymyślić, coś, co odwróciłoby uwagę od jej numeru z wstrzymaniem czasu, więc palnęła ten Paryż. Stanęliśmy razem w tłumie, pod rękę, jak Potoccy na raucie w swoim krzeszowickim pałacu. A może to rzeczywiście pani Potocka – przeszło mi przez myśl. Wraca po latach na swoje włości. Dogląda restrukturyzacji taboru, podczepiając się

pod takich jak ja, a potem, dla nowej frajdy, jedzie zamiast chyżą kolaską osobowym za pięć pięćdziesiąt do Krakowa, pod swoją dawną kamienicę na rynku, i tam rozpущa się w tłumie.

– Z tej wioski niedaleko – powiedziała.

– Proszę? – dopytałem.

– Z Paryża, z tej wioski niedaleko. Mam chorą córkę w Krakowie i muszę dziś zaopiekować się wnukami – wyjaśniła.

Tak, przypominam sobie. Byłem tam dawno temu na rowerze. Jechałem bardzo szybko, bo było późne popołudnie, a to jest ode mnie kawałek. Organizm aktywował uśpiony około trzynastego roku życia fragment kodu DNA, który odpowiada za możliwość pracy od świtu do zmierzchu, bicykl nurkował w czerni dolin i wspinał się siłą rozpędu do ćwierci następnego zbocza. Minąłem przysiółek Zakopane za klasztorem w Czernej i piąłem się stromą ulicą tej wsi. Musiała być wczesna wiosna albo późna jesień, bo wszystko było czarne albo białe. To jest chyba znak, żeby nie drzeć w chwilach zmuły o swoją pamięć. Ona działa po swojemu i mocno niezależnie. Wydawało mi się wtedy w siodełku, że nic nie zapamiętuję, a potem jednak umiałem wszystko odtworzyć: pogłębiała się pustosz pod kołami. W wąwozie wzdłuż drogi musiał płynąć kiedyś potok. Nie ma nic suchszego niż wyschnięty strumień. Po podwórkach walały się trociny i oskubane pniaki. Kury spokojnie dziobały asfalt. Koło poloneza kręcił się facet w czarnej skórce. Było jak w tych wszystkich długich wsiach beskidzkich wrastających w zbocza, wraz z którymi kończy się presja ludzi. A potem znów nur w wądoły zielone jak bób, przez garby jasne jak Tyniec, z prędkością, przy której nazwy tracą znaczenie. Dolina za doliną, jak zebra ziemi. Zatrzymałem się dopiero w Paryżu. We wsi stała jedna ciężarówka zaparkowana na wypłaszczonej podjeździe. Z dolin wokół wypełzała wilgoć zmierzchu. Żołnierze napoleońscy, wracając z Moskwy do Francji, postanowili osiedlić się tutaj, podobno z miłości do miejscowych dziewcząt, i nazwali tak to miejsce

pewnie z tego samego powodu, dla którego ja dałem swojemu psu imię Rangun. Na południe ponad wąwozem Sztuczki i dalej, ponad doliną Wisły, wsie i miasteczka na odcinku stu kilometrów przypominały kamienie, które ktoś wbił w długą na sto kilometrów skarpe, by umocnić złotą attykę Tatr na widnokręgu.

– Pani tam mieszka od zawsze? – dopytałem.

– Nie, od dziesięciu lat. Wybudowaliśmy się tam.

Drzwi pociągu rozsunęły się. Weszła do środka pierwsza, kilka osób wcisnęło się przede mną, wybrała prawy bezprzedziałowy wagon. Mogłem pójść w lewo, jak postanowiłem, ale w ostatniej chwili, w zasadzie nie wiem dlaczego, ruszyłem za nią. Usiadła na pierwszym siedzeniu po prawej, naprzeciw niej było wolne. Chyba wtedy na mnie nie spojrzała. Założyła nogę na nogę. Na czerwoną szpilkę opinającą stopę padło blade światło. But w miejscu, w którym zakrywał kostkę, zaświecił jak mokry głóg. Wyjęła z torby książkę. Próbowałem odczytać tytuł na okładce. Nagle spojrzała na mnie i zapytała:

– Bilety u konduktora?

– Tak, przyjdzie – powiedziałem i przypomniałem sobie, że chwilę o tym rozmawialiśmy pod parasolem: było oczywiste, że nie zdąży pójść do kas przed odjazdem.

Pociąg ruszył. Pod naskórką terazniejszości, nie trwalszym niż błysk spojrzenia, jej obce mi, pociągające życie wydawało się szarzyć i niknąć w rosnącej pustce za nami. Byłem ciekaw, jak mija życie w takim Paryżu. Jak wyglądają te wszystkie wstawania, jedzenia, sprzątania. Zawsze chciałem o to pytać ludzi. O to, czy się wyspali, czy pieką ich stopy, czy moczą je czasem w misce, czy otwierają okno na noc, a jeśli tak, to czy na oścież, czy tylko uchylają... Tak na serio to nic innego nigdy mnie nie ciekawiło. Czuję ulgę, gdy wyobraźnia zamienia się w osad i rzeczywistość jest czysta jak kryształ. Cieszy mnie, gdy świat przez chwilę stoi jak ten pociąg w środku pól i można bezkarnie zajrzeć ludziom do okien, za który-

mi brzęczą sztuce. Mówiła, że nie wieszają w domu firanek. Co teraz robi, wieczorem? Pewnie leży półnaga na tapczanie. Na skraju blatu leżą pestki wiśni. W pokoju jest niebiesko jak w kwiecie chabra.

„...akiem...”. Pływakiem? Wciąż próbowałem odgadnąć, co czyta. To trwało przynajmniej do Rudawy. A może jednak „...tasakiem?”. Gałki jej oczu poruszały się w znanym czytelniczym rytmie. „Maka-kiem?” Coś o małpach? Byłoby wspaniale – moglibyśmy rozpocząć dyskusję o ewolucji gatunków, nawiązać do Doliny Prąd-nika, Jaskini Ciemnej, stamtąd z pasją przejść do kwestii współczesnego osadnic-stwa mieszczan na Jurze Południowej i konsekwencjach tego faktu – rozmowa nabrała by treści. Okładka jej książki była czerwona. Minęliśmy Zabierzów, Kraków-Mydlniki, a ona dalej trzymała książkę w takiej pozycji, że nie mogłem odczytać tytułu. Przyszedł konduktor. Nigdy wcześniej gościa nie widziałem. A przecież zna się tych konduktorów, te konduktorki, na przykład taką śniadawą i grzeczną, ubraną do tego i ufryzowaną tak, jakby wskoczyła tu na chwilę z kursu w 1956 roku. Zna się też wielu pasażerów i ponadawało się im już jakieś ksywy, imiona, ale nie zamieniło się z nimi słowa, bo skoro, według kognitywistów, maksymalna liczba rozmówców umożliwiająca spójną rozmowę wynosi cztery, to liczba osób na peronie, by zagały do siebie, nie może przekraczać dwóch. Ale to już moja teoria.

No więc nie widziałem go wcześniej. Tak kiedyś poruszali się obcy we wsi. Przycichli. Jakby nagle postarzeliby się parę lat tuż przed opłotkami. Nosił przydługą szarą marynarkę, która kojarzyła się z frakiem. Przypominał zmęczonego starego kelnera. Albo kościelnego. Biel koszuli tylko przykuwała wzrok do ospowych dziur na twarzy. Cesał się tak, by nie można było zapamiętać jego fryzury. Pokazałem mu bilet wsunięty za przeźroczystą folię w portfelu. Ona powiedziała do niego:

- Poproszę bilet do Krakowa.
- Normalny?
- Nauczycielski.

To było przecież oczywiste – nauczycielka!

– Proszę – burknął i wydrukował mały, natychmiast zwijający się w rulon bilecik. – Sześćdziesiąt sześć złotych – mruknął pod nosem.

„Ile?!” – usłyszałem wrzask mojej myśli. – A, przepraszam. Nauczycielski to będzie czterdzieści cztery.

Nic nie runęło. Nic. Chłopak przy szybie badał sobie tatuaż na przedramieniu. Dwie matki z niepełnosprawnymi synami. Jeden z nich, ze czterdzieści lat, czas nie zabił w nim wzroku pięciolatka, jego twarz jak pokryta resztkami popękanej gliny, zsuwającymi się po mokrej skórze z każdym uderzeniem promieni. Naprzeciwko niego wielki mężczyzna. Wodził dłonią po zwilżonym potem bicepsie, łapczywie wczytywał się w wiadomości „Muratora” na telefonie, a potem opierał się na chwilę o fotel i marzył, marzył. Nic. Żadnej awantury, po której konduktorzy wycofują się rakiem. Tętnica na szyi wielkiego mężczyzny pulsowała. Czarne żyły konduktora jak druty pod skórą. Na ciele pani nie było ich widać – gdy konduktor oznajmił jej cenę, jej twarz jedynie się zaróżowiła, jakby ktoś wdmuchnął jej przez ucho w głowę landrynkowy obłok. Konduktor czuł chyba, że wypada jeszcze coś dodać:

– Proszę pani, już jesteśmy na terenie Krakowa. Po wejściu do pociągu należy zgłosić się od razu do konduktora. Maszyna sama mi taką cenę drukuje.

Maszyna sama mu drukuje, kurwa jego mać... I co, maszyna sama rano wstaje, podpina się do wtyczki, ładuje się, idzie przez

pociąg przez pół godziny, a potem namierza oszustów i drukuje bilet za czterdzieści cztery złote za dwadzieścia minut jazdy?

– Kartą – powiedziała. Przyłożyła ją do czytnika. Piknęło, że nie.

– To może inną kartą – zaproponowała. Ta druga zadziałała. Konduktor wręczył jej bilet, a ona mu jeszcze podziękowała! Landrynkowy obłok opadł w czeluść szyi owinętej turkusową chustą.

– Chyba straci pani dobre zdanie o polskiej kolei – znów próbowałem zagać.

Przytaknęła – ale tak, jakby to wszystko wydarzyło się trzydzieści lat temu.

Nie wszyscy jesteśmy ludźmi. Na pewno nie ten konduktor. Ustawiłem się do wyjścia tuż za nim, nad jego karkiem z dwoma zmarszczkami w kształcie X. Nie wszyscy jesteśmy ludźmi – moja krew gęstniała jak masa w betoniarce. Wiedziałem, co się zaraz stanie. Widziałem przyszłość. Ale kiedy wyszedł na peron, przyczepił się do niego natretny koleś – tak długo czekałem, aż skończą, że odechciało mi się zadymy. Konduktor miał szczęście. Ja, jak się okazało, nie. Bo znów zobaczyłem moją panią. Stała przede mną, jakby stawiając opór sile nacierającego tłumu.

– Chciałam podziękować i się pożegnać – wyciągnęła władczo rękę. Zanim odeszła, dodała: – Proszę do mnie przyjechać. Paryż... – I wtedy podała numer domu.

Śluchaj serii podkastów – rozmów na tematy społeczne, które poruszamy na łamach magazynu.

- Miłość w czasach narcyzmu
- Bunt nasz powszechny
- Jak pomagać mądrze?
- Jak być blisko natury, ale jej nie szkodzić?
- Seks. Czego tak naprawdę się wstydzimy?

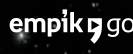


PREMIERA
Pisma.

Śluchaj nas na magazynpismo.pl

Partner:




Kup książkę

Nasza pani psycholog

tekst MICHAŁ SZCZĘCH

ELŻBIETA PISZE, ŻE CORAZ CZĘŚCIEJ nieznosnie boli ją głowa, ma odruchy wymiotne na samą myśl o pracy. A dyrektorka opowiada innym zatrudnionym, że nie boi się oskarżenia o mobbing, bo „ma na Elżbietę haki”.

Ewa: – Mąż zapytał: „A czego ty się boisz?”. Odpowiedziałam, że jeśli ktoś tego nie przeżył, jeśli nie zna jej od tej strony, to nie zrozumie. Na co dzień jestem wygadana. Gdy stoję przed nią, zapominam języka. Nie potrafię się przed nią obronić, przed jej krzykiem i obelgami.

Barbara: – Mówi: „Ciebie nikt nie lubi” albo „Jesteś głupia”.

Renata: – Czepia się prywatnego życia. Beszta za tatuaż, za kolczyk, za ubranie. Dziewczynie, która żyje bez ślubu, wytyka przy wszystkich: „Ty się źle prowadzisz!”.

Ewa: – W nocy mam koszmary. Budzę się złana potem. Przed wyjściem do pracy cała się trzęsę. Tuszu do rzęs nie jestem w stanie utrzymać. Boli mnie głowa i brzuch. Wymiotuję.

Renata: – Kiedy wpadam rano do sekretariatu, chwytam za klucz do gabinetu i uciekam, żeby tylko mnie nie zobaczyła.

Gdy rozmawiamy w ustronnym miejscu, pracownice Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Nowej Soli nerwowo spoglądają w okna. To pedagogożki i psycholożki, które na co dzień diagnozują dzieci i młodzież

z problemami w nauce i zaburzeniami rozwoju. Pomagają w przełamywaniu kolejnych barier i strachu. A teraz to one się boją, że ktoś je zobaczy, usłyszy, że doniesie o tym dyrektorce.

Zuzanna: – Nauczyłyśmy się rozpoznawać odgłos jej szpilek. Tylko ona nosi takie wysokie. Gdy nagle dźwięk milknie, to wiadomo, że czeka pod drzwiami gabinetu i słucha. Że zaraz wpadnie do środka i zacznie krzyczeć: „Jesteś leniem!”, „Tobie się nie chce pracować!”.

Barbara: – To było przed wyborami prezydenckimi [w 2020 roku – przyp. M.S.]. Wchodzę do sekretariatu, a ona mówi: „Podpisz”. Na biurku leżała lista poparcia dla jednego z kandydatów. Odmówiłam, choć pani dyrektor nie znosi sprzeciwu.

Klaudia: – Nawrzeszczy, a później, jak gdyby nigdy nic, potrafi wyjść do fryzjera, do kosmetyczki, na zakupy.

Poradnia podlega Starostwu Powiatowemu w Nowej Soli, więc to z rąk kolejnych starostów dyrektorka otrzymuje od 2004 roku nominacje na kolejne kadencje. A także liczne wyróżnienia – między innymi z Mi-

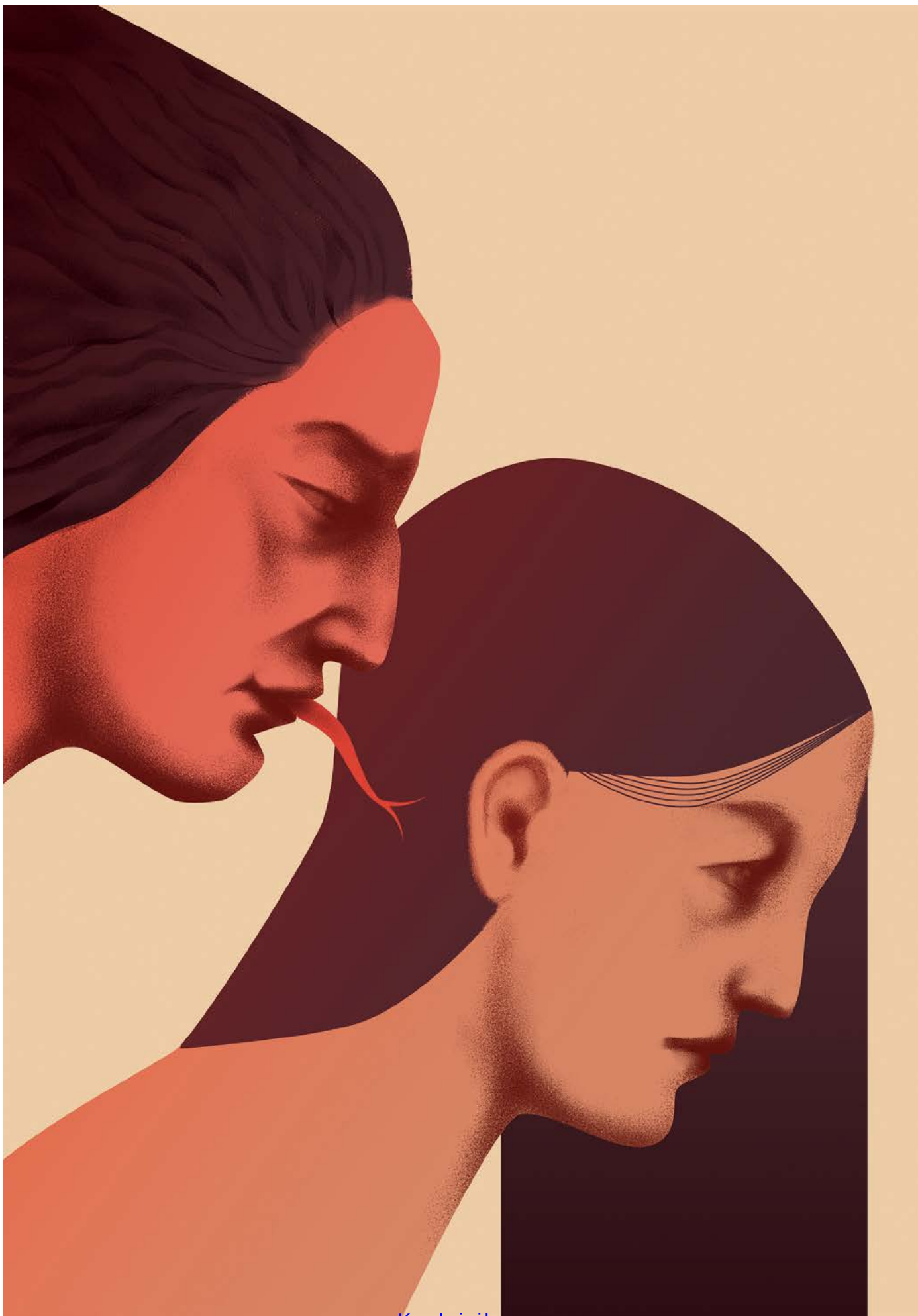
nisterstwa Edukacji Narodowej za „wybitne osiągnięcia pedagogiczne” – oraz nagrody finansowe ze starostwa. Wcześniej w powiatowym Wydziale Oświaty powstają uzasadnienia do wypłaty tego typu nagrody i przyznawania wyróżnień – w przypadku pani dyrektor zawsze jednoznacznie pozytywne. Nagradzana jest między innymi za to, że „w ramach swojej pracy pedagogicznej cyklicznie prowadzi warsztaty, wykłady i prelekcje dla rodziców”, że „w klasach maturalnych prowadzi zajęcia *Nabywanie umiejętności radzenia sobie ze stresem w warunkach ekspozycji społecznej*”, że „w poradni wprowadza modelowe zestawy narzędzi diagnostycznych TROS-KA [służące do badania rozwoju emocjonalno-społecznego dzieci i młodzieży – przyp. M.S.] oraz standardy funkcjonowania poradni psychologiczno-pedagogicznych”, że „wraz z Uniwersytetem Zielonogórskim zorganizowała już trzy edycje Powiatowej Konferencji Naukowo-Metodycznej”. Tego typu pochwał jest znacznie więcej.

Byłe i obecne pracownice poradni kontynuują opowieść:

Ewa: – Przez kilka dni w domu po godzinach pracowałam nad prezentacją. Później pani dyrektor pojechała na jakąś prelekcję i moją prezentację pokazała jako swoją. Nie tylko mi się to przytrafiło.

Klaudia: – Gdy widzi się z urzędniczkami ze starostwa, to zaraz są buziaczki, ochy i achy. To dobre koleżanki. A my patrzymy

[Kup książkę](#)



na to wszystko i kurczymy się coraz bardziej. Przy pani dyrektor, przy tych wszystkich urzędnikach, przy ludziach u władzy, którzy powinni mieć nadzór nad panią dyrektor, my jesteśmy jak mrówki, które mogą zdeptać.

Renata: – Czujemy się jak szczury, chowamy ze strachu przed konsekwencjami, które mogą spaść na każdego, kto głośno opowie o nieprawidłowościach i przeciwstawi się układowi, układzikom.

Barbara: – To strach przed siecią powizań w małym mieście, przed wykluczeniem, przed tym, że nikt nie uwierzy, a jeśli nawet, to nie zrobi nic, żeby pomóc.

Ewa: – Kilka z nas z powodu pani dyrektora korzysta lub korzystało z pomocy psychiatrów. Czasami mam takie myśli, że jeśli nikt nam nie pomoże, to ja coś sobie zrobię.

Beata: – Przed laty wysyłałyśmy sygnały do pracowników starostwa, do radnych powiatowych. Sprawę zamieciono pod dywan, nikt nam nie uwierzył. Kilka lat temu wygrała kolejny konkurs na stanowisko dyrektorki, choć przecież wcześniej do starostwa wpłynęło wobec niej wotum nieufności, wydane przez radę złożoną z pracowników poradni. Do dziś nie potrafię zrozumieć, jak to możliwe, że wygrała ten konkurs.

—
TELEFONUJĘ DO DYREKTORKI. Mówi, że nigdy nie dopuściła się mobbingu. Deklaruje, że oddzwoni do mnie po konsultacji z przełożoną, czyli ze starostą Iwoną Brzozowską. Nie oddzwania, a w kolejnych dniach już nie odbiera telefonu.

Gdy w październiku 2020 roku osiem byłych i obecnych pracowników poradni na piśmie zawiadomiło starostę i radnych powiatowych o nieprawidłowościach oraz gdy sprawa wybrzmiała na sesji rady powiatu, starostwo nie miało wyboru: musiało przeprowadzić kontrolę. Objęła jeden rok działalności poradni, trwała od 14 do 16 października. Efektem jest trzydziestostronicowy raport o nieprawidłowościach, głównie w zarządzaniu placówką. Kontrolujący wytykają „liczne błędy w merytorycznym opracowywaniu za-

rzążeń, upoważnień, pism i w wykonywaniu powierzonych obowiązków”.

Błędy w zakresie finansów kontrolujący wyliczają na jedenastu stronach. Dotyczą na przykład zdawkowych opisów faktur i niewypłacania delegacji. Brakuje wymaganych pieczęci na listach płac i innych dokumentach, a także właściwej dokumentacji dotyczącej wypłacania nadgodzin. Dyrektorka nie prowadziła wymaganego dziennika, a nadgodziny wypłacała sobie na podstawie oświadczeń, które sama składała. Od stycznia do września 2020 roku z tego tytułu na jej konto wpłynęło ponad 5,5 tysiąca złotych.



Kontrowersje mogą budzić dodatki wypłacane poszczególnym pracownikom. Jedne otrzymywały co miesiąc nawet 300 złotych dodatku, inne tylko 50 złotych, mimo że były zatrudnione na tych samych stanowiskach, prowadziły trudne sprawy i miały podobny staż pracy. Miesięczny dodatek motywacyjny dyrektorki wynosił 1800 złotych. Drugie tyle otrzymywała w ramach dodatku kierowniczego. A także dodatek za wysługę lat, równy dwudziestu procentom wynagrodzenia. Główna księgowa, pracująca na pół etatu, w 2020 roku dostała od dyrektorki trzy nagrody, każda w wysokości czterech tysięcy złotych. W trzy lata dostała w sumie dziesięć nagród na łączną kwotę prawie 37 tysięcy złotych. W starostwie tłumaczą, że takie nagradzanie jest zgodne z procedurami.

Dyrektorka w wyniku kontroli w listopadzie 2020 roku otrzymuje upomnienie. A wcześniej kolejną nagrodę ze starostwa,

w wysokości dwóch tysięcy złotych, z okazji Dnia Edukacji Narodowej. – Decyzja o przyznaniu zapadła, zanim wpłynęła skarga – wyjaśnia starosta Brzozowska.

Temat ukarania dyrektorki wybrzmiewa w grudniu, w trakcie sesji rady powiatu. „Upomnienie? – oburza się radna Zenobia Kubicka. – Wnioskuje o to, żeby pani dyrektor natychmiast została odsunięta od swoich obowiązków do czasu wyjaśnienia sprawy. Dopuszczając nadal panią dyrektor do pracy, pozwalamy na te wszystkie nieprawidłowości, jakie miały tam miejsce. Odsunięcie od obowiązków byłoby dobre dla pracującej tam załogi”.

Tymczasem pracownice skarżą się, że dyrektorka, która nadal pełni tę funkcję, straszy je, że pójdzie do sądu i zażąda od nich 50 tysięcy złotych odszkodowania.

W grudniu dyrektorka bierze urlop zdrowotny, a kilka tygodni później przechodzi na emeryturę, choć miała pracować do końca kadencji, czyli jeszcze pół roku. Na odchodne zgodnie z przepisami przysługuje jej trzymiesięczne wynagrodzenie, a także nagroda jubileuszowa za czterdzieści lat pracy, czyli kolejne dwie i pół pensji. Jako dyrektorka poradni zarabiała miesięcznie prawie 8,5 tysiąca złotych brutto.

Zarzut stosowania mobbingu sprawdza prokuratura we Wschowie na wniosek starosty Brzozowskiej. Miała obowiązek zgłosić sprawę, skoro została zaalarmowana przez pracownice poradni.

—
Postępowanie wszczęliśmy w oparciu o artykuł 218 paragraf 1a Kodeksu karnego – informuje mnie prokurator Monika Zimmerman-Wołowicz. „Kto, wykonując czynności w sprawach z zakresu prawa pracy i ubezpieczeń społecznych, złośliwie lub uporczywie narusza prawa pracownika wynikające ze stosunku pracy lub ubezpieczenia społecznego, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch” – brzmi wspomniany paragraf. Na wniosek prokuratury policja przesłuchuje świadków. Pracownice otrzymują status pokrzywdzonych.

—
W LISTOPADZIE 2020 roku, w trakcie obrad rady powiatu, starosta Brzozowska potwierdza, że na temat dyrektorki krążyły różne informacje, bo „przecież Nowa Sól to małe

miasto”. „Myśmy wiedzieli, że jest jakieś niezadowolenie. Gdzieś ktoś coś o czymś mówił” – komentuje.

Pytam Brzozowską pisemnie, czy przed 2020 rokiem do starostwa wpływały od pracowników poradni skargi na dyrektorkę. Odpowiada, że od 2014 roku ich nie było. Dlaczego nie sięga głębiej, skoro dyrektorka swoją funkcję pełniła od 2004 roku? Na mój wniosek Brzozowska raz jeszcze przegląda rejestr skarg i wniosków. Informuje, że starostwo w ciągu siedemnastu lat otrzymało tylko dwie skargi na dyrektorkę. Pierwsza, z 2014 roku, nie dotyczyła spraw pracowniczych. Drugą była ta złożona w 2020 roku. A list?

Docieram do kopii listu zatytułowanego „Prośba o interwencję”. Wysłała go do starostwa Elżbieta, jedna z pracowników poradni. Piśmo ma pieczętkę potwierdzającą, że wpłynęło do urzędu 30 października 2009 roku, na ręce Małgorzaty Lachowicz-Murawskiej, ówczesnej starosty (zmarła w 2019 roku).

Elżbieta jest wówczas w poradni nie tylko pedagożką z prawie dwudziestoletnim stażem. Sprawuje tam również funkcję społecznego inspektora pracy, którego rolą jest ochrona uprawnień pracowniczych określonych w przepisach prawa pracy. Dlatego prosi w liście o pomoc nie tylko w imieniu swoim, ale też innych zatrudnionych, „w związku z nieodpowiednim traktowaniem przez dyrektora poradni”. Píše, że jest roztrzęsiona, że z powodu złej atmosfery dokuczają jej bóle głowy, że ciągle myśli o złych doświadczeniach z pracy. Budzi się w nocy i nie może spać.

Zarzuty Elżbiety względem dyrektorki dotyczyć licznych nieprawidłowości w zarządzaniu.

„Wydano mi polecenie, abym podpisywała swoim nazwiskiem opinie opracowywane przez stażystkę, bo ona nie ma wymaganych uprawnień”.

„Dyrektorka utrudnia mi pracę i wprowadza zupełnie niepotrzebny bałagan przez wydawanie błędnych opinii, niezgodnych z obowiązującymi procedurami”.

„Niesprawiedliwie dzieli obowiązki służbowe pomimo częstego zgłaszania nieprawidłowości. Wpływa to niekorzystnie na atmosferę, powoduje duży stres u osób, którym się ciągle dokłada dodatkowe zadania i pomija przy nagradzaniu za dodatko-

wą pracę. Nagradzane są najczęściej osoby, które wyręczają dyrektora z jej obowiązków”.

„Używa obraźliwych słów w stosunku do pracowników”.

„Były też niby żarty typu «kopnę cię w tę chudą dupę»”.

Podobnych zarzutów Elżbieta przedstawia więcej. List liczy osiem stron formatu A4. Jego autorka skarży się, że przy wypłacaniu nagród, na przykład z okazji Dnia Edukacji Narodowej, jest najczęściej pomijana. „Jako jedyna osoba w dziale jestem (...) traktowana, jakby moja praca nie miała żadnej wartości. (...) Raz dostałam wyróżnienie w wysokości 375 złotych, ale [dyrektorka – przyp. red.] wielokrotnie powtarzała, że to z wdzięczności dla mojego męża, który wykonał coś dla poradni, chyba jakiś mebel”.

Elżbieta zwierza się Mariuszowi, swojemu mężowi, że boi się chodzić do pracy, którą kiedyś tak bardzo kochała. Mariusz widzi, jak trzęsie się na samą myśl o dyrektorce.

Elżbieta pisze do kuratora:

„Wpędziłam się w chorobę, bo doszukiwałam się logiki w postępowaniu dyrektorki, ale jej nie znalazłam, ponieważ motorem napędzającym działania mojej szefowej jest dążenie do prezentowania władzy absolutnej”.

Mijają miesiące. Dziewiątego listopada 2010 roku Elżbieta wysłała kolejny list, tym razem do Romana Sondej, ówczesnego kuratora lubuskiej oświaty (dziś jest dyrektorem generalnym Lubuskiego Urzędu Wojewódzkiego). Nosi tytuł: „Prośba o pomoc”. Elżbieta skarży się, że o taką pomoc prosiła już starostę, ale jej nie otrzymała. Píše, że starosta zadeklarowała spotkanie z radą pedagogiczną. „Pomimo obietnicy i wyznaczenia konkretnego terminu spotkanie zostało odwołane i nie odbyło się. Czekalam na nie od grudnia do kwietnia, a później przez trzy miesiące przebywałam na zwolnieniu lekarskim. Wpędziłam się w chorobę, bo doszukiwałam się logiki w postępowaniu dyrektorki, ale jej nie znalazłam, ponieważ motorem napędzającym działania mojej szefowej jest dążenie do prezentowania władzy absolutnej”.

Elżbieta pisze do kuratora, że coraz częściej nieznosnie boli ją głowa, że ma skurcze mięśni karku, odruchy wymiotne na samą myśl o poradni. Że dyrektorka opowiada innym pracownikom, że nie boi się oskarżenia o mobbing, bo „ma na Elżbietę haki”. „Mogę znieść to, że jestem najgorzej opłacana wśród osób o zbliżonym stażu i kwalifikacjach, że mam inaczej niż wszyscy przydzielane środki z funduszu socjalnego i z funduszu na dofinansowanie szkoleń, ale nie zgodzę się na wyśmiewanie, plotkarstwo, lekceważenie moich kwalifikacji i sprawowanych społecznie funkcji”.

Kuratorium odpowiada lakonicznie, że przedstawione w piśmie problemy „nie należą do kompetencji organu sprawującego nadzór pedagogiczny”.

Dzwonię do dyrektora Sondej. Na moją prośbę przegląda dokumenty z archiwum kuratorium. Wynika z nich, że sprawę badał inspektor, który uznał, że nie musi wszczynać bardziej wnikliwych procedur. Sondej wyjaśnia, że na takim podejściu urzędnika mogło zaważyć, że Elżbieta nie napisała listu w trybie skargowym. Był „jedynie” prośbą o pomoc, o charakterze ogólnym, zawierającą mnóstwo wątków, którymi powinny były się zająć różne instytucje – między innymi starostwo i prokuratura, do której sprawy wówczas nawet nikt nie zgłosił, bo nikt nie dostrzegł problemu.

Elżbieta nie otrzymuje pomocy. W styczniu 2011 roku pisze trzeci list. Do najbliższych. „Nie potrafię zrezygnować z pracy i wpędzać się na «własne życzenie» w biedę. Żałuję, że nie umiałam, tak jak moje koleżanki, udawać, że wszystko jest w porządku. Nie mam tej siły, żeby udowodnić w sądzie, że Małgorzata Karimow stosowała wobec mnie mobbing. Nie jestem w stanie normalnie żyć, ale też nie mam siły walczyć. Czuję się bardzo osamotniona, bo wiele osób odwraca się ode mnie. Od wielu tygodni marzę, żeby zamknąć oczy i nie czuć tego potwornego wewnętrznego bólu, który ścisza mi serce i żołądek. Nie umiem nawet napisać krótkiej opinii, bo nie umiem się skupić. Próbowalam zarejestrować się do lekarza psychiatry, ale zapisywano [mnie – przyp. red.] na koniec marca. Nie udało mi się też dostać do lekarza rodzinnego w ubiegłym tygodniu. Mam strasznie niską samoocenę, czuję się nikim. Potwornie boję się żyć”.

Po napisaniu listu Elżbieta podejmuje próbę samobójczą. Z powodu między innymi zdiagnozowanej depresji przechodzi na wcześniejszą emeryturę.

Jedenastego maja 2021 roku starosta Brzozowska informuje mnie: „W aktach osobowych (...) znajduje się dokument, w którym lubuski kurator oświaty bardzo wysoko ocenia pracę dyrektorki w poprzednich kadencjach”. Chwaliły ją władze powiatu nowosolskiego i miasta Nowa Sól, chwalili dyrektorzy szkół, Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie i Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Nie tylko za zarządzanie poradnią, za kolejne certyfikaty i ukończone kursy, ale też za zaangażowanie w akcje społeczne, między innymi w zbiórkę pieniędzy na zakup nowego tomografu dla szpitala.

Małgorzata Karimow – bo tak nazywa się była już dyrektorka Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Nowej Soli – wykorzystwała zbierane przez lata rekomendacje, gdy rozpoczęła starania o podjęcie pracy biegłej sądowej.

W POLSCE NIE MA USTAWY o biegłych. Ich rolę reguluje rozporządzenie ministra sprawiedliwości z 24 stycznia 2005 roku. Pod koniec lat 90. przy Ministerstwie Sprawiedliwości powołano zespół, by napisać ustawę o zawodzie biegłego. W jego skład weszli przedstawiciele różnych dyscyplin, między innymi Ewa Gruza, wieloletnia biegła z dziedziny badań dokumentów, obecnie profesorka prawa w Katedrze Kryminalistyki Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego.

– W przepisach, które próbowaliśmy wdrożyć, było na przykład rozwiązanie, że przy prezesach sądów okręgowych prowadzących listy biegłych mogłyby istnieć organy doradcze składające się z osób o najwyższych kwalifikacjach, z wybitnych autorytetów w różnych dziedzinach, na przykład medycyny, psychiatrii, psychologii, kryminalistyki – opowiada Gruza. – Organy te pomagałyby ocenić dokumenty składane przez kandydatów na biegłych, ich wiarygodność i kwalifikacje. Stworzyliśmy podwaliny jak na tamte czasy dość nowoczesnego spojrzenia na to, kto powinien być biegłym, stawiając mocno wyśrubowane warunki merytoryczne: mieli to być najlepsi z najlepszych.

Kolejne rządy nie stworzyły jednak ustawy o biegłych. Tłumaczyły, że to za drogie. To wymówka. Mamy 2021 rok i jesteśmy w tym samym punkcie co ponad dwadzieścia lat temu, gdy zaczynaliśmy pracę.

– Tamten projekt ustawy był niemal ukończony – wspomina profesor Mieczysław Goc, prezes Polskiego Towarzystwa Kryminalistycznego (PTK), który również pracował we wspomnianym zespole. – Ale zmieniła się ekipa rządząca. Pojawiły się kolejne projekty ustawy, jeden przygotowaliśmy nawet w PTK, ale również nie doczekał się finalizacji.

Funkcja biegłego z dziedziny psychologii wiąże się z koniecznością używania testów psychologicznych. Część z nich jest zastrzeżona do użycia wyłącznie przez magistrów psychologii. A jeśli ktoś bez uprawnień posługuje się testami? – To łamanie prawa – komentuje doktor Panas.

Kim jest biegły?

– To powinien być człowiek o nieskazitelnym charakterze, o nieposzlakowanej opinii – upiera się Gruza.

Dowód z opinii biegłego jest specyficznym środkiem dowodowym. W wielu przypadkach może mieć decydujące znaczenie dla sprawy. – Sędzia nie ma wiedzy w każdej dziedzinie, dlatego korzysta z pomocy biegłych, którzy powinni posiadać wiadomości specjalne – dodaje Katarzyna Wójtowicz-Garcarz, wieloletnia biegła sądowa z dziedziny kryminalistycznych badań dokumentów, współzałożycielka Polskiego Stowarzyszenia Biegłych Sądowych.

Czym są wiadomości specjalne?

– To coś, co wykracza poza normalnie przyjętą, ogólnie dostępną wiedzę – wyjaśnia Wójtowicz-Garcarz. – To połączenie specjalistycznej wiedzy i doświadczenia zdobytego jeszcze przed wpisaniem na listę biegłych sądowych – podkreśla, że wiadomości specjalnych nie nabędziemy, surfując po internecie czy na kilkudniowych kursach, a nawet na studiach podyplomowych, bo w takiej sytuacji wszyscy moglibyśmy być biegłymi.

W 2012 roku w Sądzie Okręgowym w Zielonej Górze Małgorzata Karimow zostaje biegłą w dziedzinie pedagogiki. W sądzie nie widzą przeciwwskazań, bo poza rekomendacjami i CV bogatym w nagrody i wyróżnienia posiada tytuł magistra z tej dziedziny i doświadczenie z pracy w poradni. Biegłych pedagogów sądy powołują najczęściej w sprawach rodzinnych, dotyczących na przykład przyznania władzy rodzicielskiej, by uzyskać między innymi ocenę związaną z funkcjonowaniem danej rodziny.

Kilka miesięcy później Karimow kończy Studium Psychologii Sądowej w Dolnośląskim Centrum Psychoterapii we Wrocławiu i składa wniosek o wpisanie jej na listę biegłych z dziedziny psychologii. Trafia na nią w 2013 roku decyzją Bogusława Łoja, ówczesnego wiceprezesa sądu, wydaną z upoważnienia prezesa. Sędzia Łój nie zgodził się na rozmowę ze mną.

Zaglądam na stronę internetową Dolnośląskiego Centrum Psychoterapii. „Program Studium Psychologii Sądowej spełnia wymogi Ministra Sprawiedliwości z 24 stycznia 2005 roku w sprawie biegłych sądowych – czytam. – Celem (...) jest kształcenie przyszłych biegłych psychologów sądowych i innych ekspertów współpracujących z wymiarem sprawiedliwości, profesjonalnie zajmujących się diagnozą i orzecznictwem psychologicznym”. Dzwonię do tej placówki i pytam:

– Czy każdy, kto skończy wasze studium, może zostać biegłym z dziedziny psychologii?

– Ukończenie naszego studium podnosi kwalifikacje, ale na pewno nie czyni z kogoś biegłego, bo o tym decyduje prezes danego sądu. Ukończenie studium nie czyni też z uczestnika psychologa – odpowiada pracownica Centrum. I podkreśla, że kursanci są o tym informowani. Zatem Karimow musiała wiedzieć, że nie jest psycholożką, gdy starała się o posadę biegłej z tej dziedziny.

– A może przedłożyła jednak dyplom magistra psychologii? – z tym pytaniem zwracam się do Sądu Okręgowego w Zielonej Górze. Rzeczniczka sędzia Diana Książek-Pęciak odpowiada, że nigdy tego nie zrobiła. Gdy proszę o umożliwienie wglądu w dokumenty uprawniające Karimow do pełnienia funkcji biegłej, Książek-Pęciak

zasłania się RODO. Wylicza tylko, że przedłożyła dyplom magistra pedagogiki zdobyty na Wydziale Nauk Historycznych i Pedagogicznych Uniwersytetu Wrocławskiego, certyfikat ukończenia wspomnianego już studium, zaświadczenie o uczestniczeniu w zajęciach. I tyle. Zajęcia w Dolnośląskim Centrum Psychoterapii trwały zaledwie trzy miesiące. To pięć weekendowych zjazdów.

W listopadzie 2019 roku nowo powstały Dom Opieki dla Seniorów w Modrzycy pod Nową Solą zatrudnia Karimow na pół etatu na stanowisku psychologa. Mówią tam o niej „nasza pani psycholog”. By otrzymać posadę, przedkłada między innymi dyplom studium w zakresie psychologicznego wspomagania dzieci i młodzieży z trudnościami zdobyty na Uniwersytecie Wrocławskim (nauka w takim studium trwa dwa semestry w trybie zaocznym), a także świadectwa ukończenia szkoleń z zakresu pomocy psychologicznej dla osób po doświadczeniach traumatycznych, interwencji kryzysowej w sytuacji katastrofy i porwania zakładników, interwencji kryzysowej u ofiar mobbingu i agresji. Pytam w urzędzie gminy Otyń, który koordynuje pracę Domu Opieki, gdzie Karimow zdobyła te świadectwa. „To nie jest informacja publiczna” – odpowiada burmistrzynie Barbara Wróblewska po konsultacji z gminną prawniczką Nataszą Sienkiewicz. Wszystkie te szkolenia można ukończyć w Studium Interwencji Kryzysowej w Bielsku-Białej, w sumie w trakcie ośmiu weekendowych zjazdów. Czy czynią one z Małgorzaty Karimow psycholożkę?

– Psychologiem jest wyłącznie ktoś, kto posiada tytuł magistra w tej dziedzinie, zdobyty w trakcie pięcioletnich studiów – komentuje doktor Bernadetta Izdorczyk, konsultant krajowy w dziedzinie psychologii klinicznej.

– Psychologiem nie można zostać po ukończeniu kursów albo z tytułu zasiedzenia na jakimś stanowisku, na przykład w fotelu dyrektora poradni – podkreśla doktor Krystyna Teresa Panas, prezeska Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, wieloletnia biegła z dziedziny psychologii klinicznej.

JAK TO MOŻLIWE, że osoba bez kierunkowego wykształcenia jest biegłą, której opinie

sąd uznaje za wiarygodne i eksperckie? Od ośmiu lat mają one znaczenie dla wyniku kolejnych, często trudnych i delikatnych spraw sądowych, dotyczących między innymi podejrzanych o krzywdzenie swoich dzieci.

„Do tej pory nikt nie kwestionował kompetencji tej pani” – zauważa Książek-Pęciak, gdy w styczniu wnoszę o wyjaśnienie tej sprawy. Na początku lutego informuje mnie, że prezes Sądu Okręgowego w Zielonej Górze, sędzia Bogumił Hoszowski, „zbada kwalifikacje biegłej do pełnienia funkcji biegłego w dziedzinie psychologii”. Dwudziestego trzeciego kwietnia, po blisko trzech miesiącach, Książek-Pęciak przysłała lakoniczną odpowiedź prezesa: „Decyzją (...) z dnia 22 kwietnia 2021 roku Prezes Sądu Okręgowego w Zielonej Górze zwolnił tę Panią z funkcji biegłego sądowego. Decyzja została wydana na prośbę biegłej, w oparciu o § 6 ust. 1 pkt 1 rozporządzenia



Ministra Sprawiedliwości z dnia 24 stycznia 2005 roku w sprawie biegłych sądowych. (...) Decyzja ta czyni bezprzedmiotowym dalsze badanie kompetencji tej pani do pełnienia funkcji biegłego w dziedzinie psychologii”.

Zaglądam do rozporządzenia ministra. Sąd zwolnił biegłą w oparciu o punkt pierwszy, czyli na jej prośbę. Czy nie powinna zostać zwolniona w oparciu o kolejny punkt: „jeżeli biegły utracił warunki do pełnienia tej funkcji albo gdy zostanie stwierdzone, że w chwili ustanowienia warunkom tym nie odpowiadał i nadal im nie odpowiada”? Powołując się na punkt drugi, prezes sądu przyznałby jednak, że w 2013 roku popełnił błąd, wpisując Karimow na listę biegłych. Powołując się na punkt pierwszy, umywa ręce od dalszego badania jej kompetencji.

ZLECONE PRZESZ SĄD ZADANIE, czyli przygotowanie opinii w danej sprawie, biegły musi wykonać osobiście, nie powinien wyręczać się innymi osobami.

Funkcja biegłego z dziedziny psychologii wiąże się z koniecznością używania testów psychologicznych. Część z nich jest zastrzeżona do użycia wyłącznie przez magistrów psychologii, ponieważ wymagają umiejętności i kompetencji, które można nabyć jedynie w trakcie pięcioletnich studiów. Karimow nie ma takiego tytułu, więc nie powinna ich używać. A jeśli ktoś bez uprawnień posługuje się testami? – To łamanie prawa – komentuje doktor Panas.

Część psycholożek, które pracują lub pracowały w nowosolskiej poradni, dostawała od dyrektorki różne testy do zaopiniowania, również te zarezerwowane wyłącznie dla psychologów, wypełniane przez osoby, wobec których toczyły się postępowania. – Opiniowałyśmy ze strachu – tłumaczy dziś. – Jako dyrektorka miała dostęp do takich materiałów, ponieważ przychodziły na adres poradni. Konsultowała z nami sytuacje dotyczące osób, w sprawie których miała opiniować przed sądem, bo sama prawdopodobnie nie miała uprawnień.

– To tak, jakby biegłym lekarzem był ktoś, kto nie ukończył medycyny – ocenia Jolanta Danielak, psycholożka kliniczna z Zielonej Góry i biegła w tej dziedzinie.

Doktor Panas z Polskiego Towarzystwa Psychologicznego wcześniej nie spotkała się z sytuacją, żeby ktoś, kto nie jest psychologiem, został biegłym w tej dziedzinie. – To przecież absurd – kwituje.

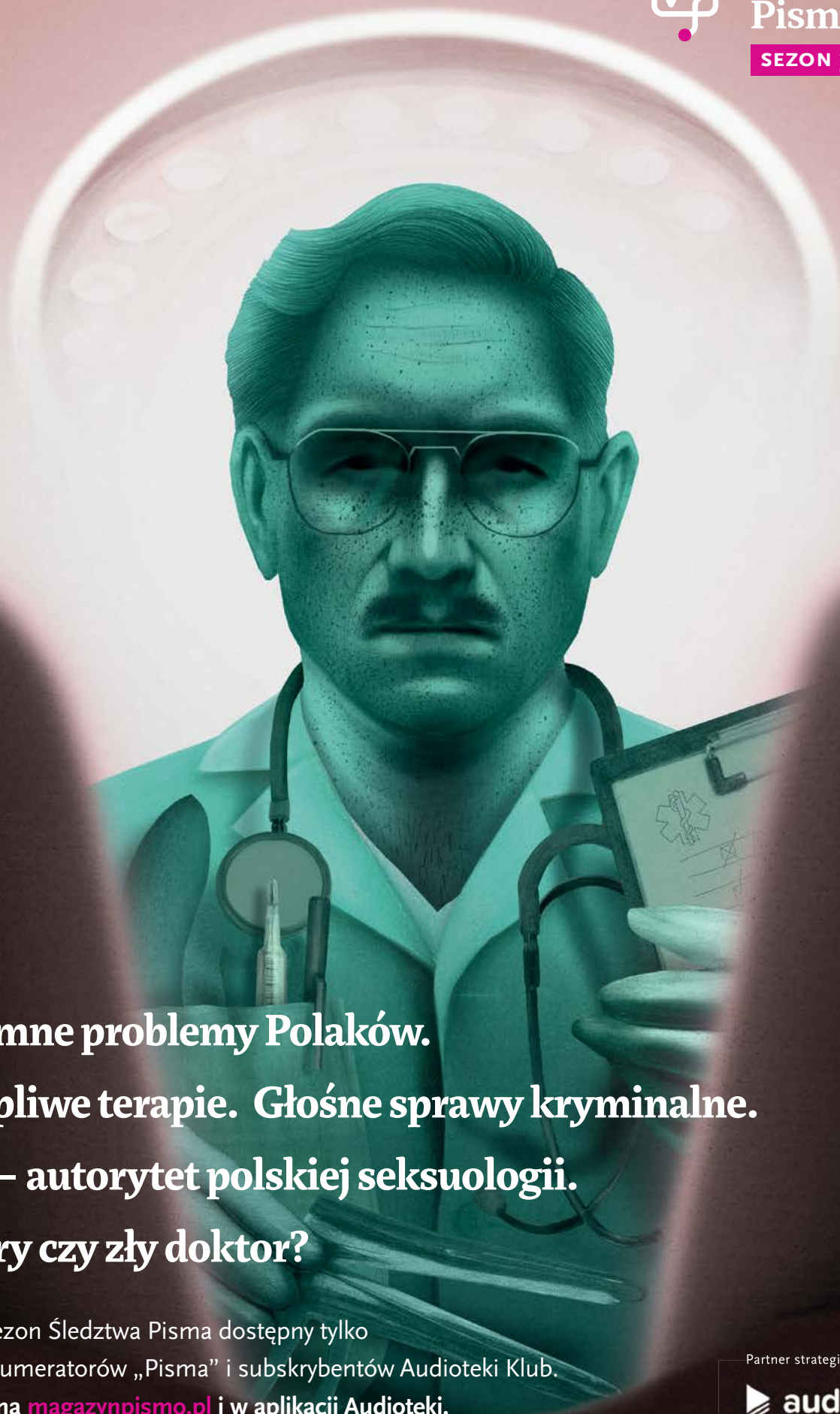
Z taką praktyką nie zetknęła się też Małgorzata Pyka, biegła w dziedzinie psychologii z Wrocławia, członkini zarządu Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Psychologów. Pyka jest biegłą od tak zwanych grubych spraw. Opiniowała, gdy w 2018 roku ważyły się losy niewinnienia Tomasza Komendy, od osiemnastu lat niesłusznie odsiadującego wyrok za gwałt na nastolatce i przyczynienie się do jej śmierci. Blisko dwadzieścia lat temu to błędne opinie biegłych miały kluczowe znaczenie dla skazania Komendy.

– Obecnie w ramach Parlamentarnego Zespołu do spraw Ustawowego Uregulowania Zawodu Psychologa pracujemy nad nowym tekstem ustawy o zawodzie psycho-



Śledztwo
Pisma.

SEZON 3



**Intymne problemy Polaków.
Wątpliwe terapie. Głośne sprawy kryminalne.
I on – autorytet polskiej seksuologii.
Dobry czy zły doktor?**

Trzeci sezon Śledztwa Pisma dostępny tylko
dla prenumeratorów „Pisma” i subskrybentów Audioteki Klub.
Słuchaj na magazynpismo.pl i w aplikacji Audioteki.

[Kup książkę](#)

Partner strategiczny:

 **audioteka**